

REPUBLIKA DZIECI

Tygodniowy dodatek „Republiki”.

Ilustrowane pismo DLA DZIECI I MŁODZIEŻY pod redakcją Jerzego Bilisa

Jerzy Bilis.

Szczerozłote godziny.

Z cyklu „Obserwujmy życie”.

Wielki gościnniec pomyślności leży wzdłuż starego traktu, wiodącego przez rezbny charakter, umiejętność spostrzeganie i wytrwałość. Kto najdłużej na tej drodze wytrwa, kto pracuje najlepszym ożywionym duchem, ten najdalej zajędzie. Powodzenie idzie śladem każdego wysiłku.

Pragniesz powodzenia w życiu: obierz więc wytrwałość na codziennego towarzysza, doświadczenie na brata, a nadzieję na anioła stróża.

W tem gronie każda twoja droga będzie wielkim gościnniecem pomyślności. W tem gronie zrozumiesz, że idea, jak nawałnica, może się zerwać i pędzić przez świat z siłą gromu; że myśl jest większą potęgą niż armja, a zasady więcej mogą odnieść zwycięstw, niż zbrojne szyki konne i piesze.

**

Pewien ironista i sceptyk nazwał czytelnika Sancho Pansą, który poddańczo iść musi śladami Don-Kichoto — autora. Poddańczo, bezkrytycznie i bezmyślnie.

Odrzucam to twierdzenie.

Nas inny łączy stosunek.

W odstępach dwutygodniowych urządzam wycieczki.

— Dokąd?

— Daleko!... A może zupełnie blisko. Wyruszam przed siebie i zatrzymuję się w tych miejscowościach, które czemś szczególnie przykuwają moją uwagę.

Wyruszam z tobą, czytelniku.

Dzisiaj już trzecia nasza wycieczka.

— Dokąd pójdziemy?

— Z pierwszej — wróciłeś rozpalony, pełen ognia wewnętrznego, wiary w potęgę ducha. Byliśmy na szerokim świecie — tak! na całym szerokim świecie — i zbieraliśmy kwiaty myśli do naszego ziel-

nika mocy. Przyrzekliśmy sobie stworzyć łańcuch dobrej woli.

— Z drugiej wycieczki wróciłeś zamyślony. Zstąpiliśmy wówczas do najtajniejszej kryjówki twojej duszy i serca. Do kryjówki dostępnej tylko dla nas. I jak Wergilijusz Dante — tak ja ciebie oprowadzałem po wszystkich kręgach twojej myśli. Rozstaliśmy się bez słowa: nie chciałem macić ciszy, w której myślałeś nad sobą.

A dziś?

Dzisiaj wyruszamy daleko: pójdziemy w przeszłość!

To niestraszne.

Zresztą — nic ci jeszcze tłumaczyć nie będę.

Wierzę, że masz do mnie zaufanie.

Chodźmy.

**

Różnicę pomiędzy człowiekiem a człowiekiem stanowi stopień mniej lub więcej rozwiniętej zdolności obserwowania.

— „Pragnąłbym, — pisze Aleksander Humboldt w jednym z listów — żebyś nauczył się spostrzegać, bo własne twoje obserwacje więcej ci oświecą, niż wszystkie odczyty”.

Zaostrz wewnętrzny zmysł widzenia, dowcip i rozum przez uważne spostrzeganie tego, co się wokół ciebie dzieje, przez baczne porównanie różnic i własności wielu rzeczy; przyzwyczaj się patrzeć na przedmiot rozumnie, nie przepuszczaj żadnego zjawiska bez rozmyślenia, nie wyrobiwszy sobie o niem zdania własnego.

Ile zaczerpnąć można z życia, obserwując baczenie swe otoczenie — wiedzieli już ludzie bardzo dawno.

Hasło. *obserwujmy życie!* — nie jest nowe.

— Znaćcie „bajkę” o Archimedesie w kąpieli. Jedno z najkapi-
talniejszych odkryć zawdzięczamy

jedynto umiejętnej obserwacji uczonego.

— Spadające jabłko stało się przyczyną odkrycia przez Newtona praw ciężkości.

— Wielu widziało przed Galileuszem, że ciało, swobodnie wiszące, wskutek potrącenia kołysze się; ale on pierwszy spojrział na ten objaw okiem myśliciela i odkrył prawo wahadeł.

Sługa kościelny w katedrze Pizy napełnił olejem lampkę, zawieszoną u sklepienia i pozostawił ją kołyszącą się naturalnymi ruchami. Galileusz, liczący wówczas 18 lat, zauważył to; myślał ustawicznie nad przyczyną ruchów i wpadł wreszcie na pomysł zastosowania ich do wymiaru czasu. Pięćdziesiąt lat strawił na mozolnych pracach i poszukiwaniach, zanim doszedł do ostatecznego rezultatu.

— Tenże uczone, dowiedziawszy się, że holenderski fabrykant okularów Sippersheim podarował hrabiemu Maurycemu Nassau instrument przez który przedmioty oddalone — wydają się bliższe, — tak wytrwale rozmyślał nad przyczyną tego „przybliżenia”, że ją odgadł w ciągu jednej nocy. Galileusz nadał znaczenie teleskopowi, skierowawszy go w obszar nieba, i w krótkim czasie porobił najdonioślejsze odkrycia astronomiczne: był on pierwszym, który poznał nierówność powierzchni księżyca.

— Pozorna i mało znacząca okoliczność — widok płynącej trawy morskiej — użył bystry rozum Kolumba do obudzenia zachwianych nadziei i stłumienia buntu marynarzy. Kto wie, czy wiedzielibyśmy dziś o Ameryce, gdyby Kolumb nie był spostrzegł jednej maleńkiej trawki.

(Dalszy ciąg na str. 2-ej)

— Kiedy Galvani, lekarz włoski zaobserwował, że udo żabie drga, pozostawione w styczności z rozmaitemi metalami, nikt nie przewidywał, że to drobne spostrzeżenie kryje w sobie zaród ogniwa elektrycznego, telefonu i t. p. A jednak drut telegraficzny oplócił całą kulę ziemską, spełniając niejako cudowne uosobienie mitu o wężu midgardskim, który podług wyobrażeń pogańskich ciałem swym jakby pierścieniem, opasywał całą ziemię.

— Franklin „wydarł niebu błyskawicę” wypuściwszy podczas burzy latawca, który składał się z dwóch poprzecznie połączonych kijków i chustki jedwabnej.

— Watt, obserwując sikawkę, doszedł do pomysłu maszyny parowej.

— Chemik angielski, Józef Priestley, obserwując pracę robotników w sąsiednim browarze, pobudzony został do oddania się chemii. Dokonał w tym zakresie wielu odkryć. Miał już lat czterdzieści, gdy zwrócił uwagę na ciekawe zjawisko: zapalone drzewienko gasło w gazach, wydobywających się na powierzchnię fermentującego piwa. Wtedy aparatem własnego pomysłu wykonał szereg prób nad właściwościami tleniu.

— Wielki naturalista francuski Cuvier, przechadzając się pewnego rana nad brzegiem morza w Normandji, gdzie był nauczycielem domowym ujrzał wyrzuconą przez huczące balwany sepie, która zajęła jego uwagę i rozbuździła chęć do nauki. Podniósł potwornego mięczaka, przyjrzał mu się dokład-

niej w domu, zapalił się do studjów i stał się wkrótce jednym z najznakomitszych naturalistów świata.

— Edward Jenner, lekarz angielski, obserwując nasilenie ospy wśród mieszkańców miast i wsi, doszedł do wniosku, że „ospa krowia”, występująca po wsiach ma przebieg o wiele słabszy niż inna. Na drodze żmudnych potem badań doszedł do szczepionki przeciw ospie która to choroba więcej ofiar pochłaniała, niż najstraszliwsze wojny.

Uważną obserwacją, ścisłym naśladowaniem natury, człowiek przez tysiące lat doszedł do tego, że środki zaspakajania różnorodnych swych potrzeb doprowadził do obecnej doskonałości.

— Dlaczego — pyta dr. Karol Müller w listach swych o naturze i sztuce — narody miałyby się silić na tworzycie dzieł sztuki podług własnego swego pomysłu? Czyż nie posiadały przed oczyma tysiąca wzorów, tysięcy myśli artystycznych?

W rzeczy samej pierwotne narody w okresie swego „dzieciństwa” naśladowały otaczające ich przedmioty. W krajach gorących — w kolebce ludzkości i sztuki — lasy dziewicze pełne były mostów z lianosów i lodyg bambusowych...

Człowiek spostrzegł, że ryba przerywa fale morskie — i wkrótce potem mknęła po wodzie lódź. — Łabędź spokojnie kołysał się na rozhułkanej wodzie: rozrostarte skrzydła jego stały się modelem żagli. — Palma dumnie wznosiła czoło w gorącym lesie i niebawem kolumna z niej podnosiła świątynię, jako pierwsza myśl rodzącej się sztuki. — Wierz-

cholki palm spłotyły się w arkady, a ich wzorem człowiek wykonał podobne sklepienia w świątyniach bóstwom oddanych. — Olbrzymia sosna dumnie spozierała w niebiosa, a w duszy artysty powstała myśl śmiała gotyckich budowli. — Lilje wodne nie daremnie z wdziękiem zielone liście swe rozwijają: od nich tarce, palety biorą swój wzór szlachetnej formy. — Powabny kształt owoców nie zginął dla sztuki i posłużył za model urny. — Nawet makówka, przydała się artystycznemu pomysłu człowieka: kształt kielicha, czary jest jej przypomnieniem.

Ale pocóż mnożyć przykłady?

Każdy z nich mówi to samo; każdy jasno dowodzi, że natura, jej obserwacja — natchnęła duszę człowieka i stworzyła sztukę.

**

Gdzieś — kiedyś zauważyłem w jakimś piśmie następujące ogłoszenie:

„Zgubiono wczoraj między wschodem a zachodem słońca dwie szczerolote godziny, każda wysadzana sześćdziesięcioma diamentowemi minutami. Nie ofiaruję się nagrody dla znalazcy, ponieważ stracone są bezpowrotnie”.

Wymowne.

Rozumiecie mnie.

Nie marnujmy szczerolotych godzin, nauczmy się wyzyskać każdą diamentową minutę.

Patrzmy! Obserwujmy!

Może o nas kiedyś powie historia: cenny kruszec przetopili w myśl!

Jerzy Bilis.

Co to jest bohaterstwo?

„OJCIEC TAJFUNÓW”.

W tych dniach wysłaniec prezydenta Rzeczypospolitej Francuskiej, Dounera, przyniósł do domu misyjnego przy ulicy Grenelle, w Paryżu, pismo prezydenta, mianujące misjonarza, ojca Froc zwanego „ojca tajfunów” oficerem Legji honorowej.

Niezwykła ta postać, ten czcigodny, skromny misjonarz, który zyskał sobie na Dalekim Wschodzie tak małołownicze przezwisko, a o którego zasługach dowiadujemy się prawie, że przypadkowo, wobec odznaczenia, jakie otrzymał z rąk swego przyjaciela, prezydenta Dounera.

Jak wiadomo, morze Chińskie i Ocean Indyjski nawiedzane są przez straszliwe huragany, zwane z chińskiej tajfunami (tai-fun), niezmiernie niebezpiecznymi dla żeglarzy. Nie raz pomiędzy czerwcem a październikiem, zdarza się u południowo-wschodnich wybrzeży Azji po dwa-

dziesiąta takich wirów powietrznych, podających z szybkością, sięgającą 50 węzłów (92.6 km. na godzinę) i zmiatających wszystko na swej drodze.

Otóż, ojcowie misjonarzy, zgodnie ze swą tradycją ludzi nauki, założyli w 1872 r. w pobliżu Szanghaju stację meteorologiczną, której głównym zadaniem stało się właśnie śledzenie zbliżania się i przebiegu tajfunów przez badanie wahań barometrycznych, ruchu chmur t. zw. pierzastych (cirrus) i ściąganie informacji z różnych stacyj wzdłuż oceanu Spokojnego.

W 1892 r. na czele stacji szanghajskiej stanął ojciec Froc i piastował to niezmiernie odpowiedzialne stanowisko aż do 1931 r. A że od takiego tego pracownika, zatopionego całemi dniami w kartach geograficznych, zapatrzono go w swe barometry i studjującego dezesze otrzymywane zależał los wprost setek okre-

tów, oczekujących w portach na porę odpowiednią do wyruszenia w drogę o czem zawiadamiał sygnał dawany przez stację szanghajską, cóż wiać dziwnego, że do ojca Froca przyrosła nadana mu przez marynarzy nazwa „ojca tajfunów”, tak, jakby on rozporządzał temi straszliwymi wirami.

Prezydent Douner wiedział o pracach i zasługach czcigodnego misjonarza, to też będąc gubernatorem Indochin, powierzył mu misję szukania odpowiedniego miejsca: urządzenie w Indochinach obserwatorium w Fu-Lien pomiędzy Hanoi a Hoi-Fongiem.

Od tego też czasu datuje się przyjaźń dzisiejszego prezydenta Rzeczypospolitej Francuskiej z „ojcem tajfunów”.

Prezydent Douner nie zanominał o zasługach, jakie oddał ludzkości i Francji jego przyjaciel.

Filmia.

Artykułkiem, który niżej drukujemy, rozpoczynamy nowy dział „Filmia”.

W dziale tym umieszczamy będziemy streszczenia ciekawszych filmów naukowych, oraz uwagi, dotyczące się filmu.

SNOUK.

(Nad. W. Wollhendler).

Rzecz dzieje się u Eskimosów. Rodzina składa się z siedmiu ludzi: mąż, imieniem Snouk, żona, dwie córki i trzech mali synowie. Poranek. Wszyscy wstają. Ubierają się w futra i zasiadają do śniadania. Śniadanie stanowią ryby i smażone na oleju fokki. Przed wieczorem żegnają słońce, które na kilka miesięcy od nich odchodzi. Później szukają schronienia wieczornego. Zaprzęgają kilka par psów do sań i ruszają w drogę. Dzieci i żona wsiadają na sanie, a Snouk pieszo z kijem w ręku prowadzi je po górach i dolinach. Kijem wali w krę, czy jest twarda. Wreszcie znajdują twardą krę. Wtedy rozkładają swój szałas i wchodzi do środka. Snouk wychodzi, łowi raki, które po kilku minutach marzną. Wtedy je zabiera i zasiadają do kolacji. Potem nadchodzi okres kuropatew. Snouk kładzie krzewy, zasypuje śniegiem nalewa wodę i wtedy czeka aż krzewy i patyki przy-marzają. Następnie oddala się, a kiedy przejdzie kuropatwa, nogi jej płaczą się w krzewach i nie może wyjść. Gdy leży tak kilka minut, marzną i sztywnieją. Wtedy Snouk bierze ją do torby i zanoszą do domu. Takim sposobem czasami uda się złowić zajaca. Raz Snouk jeszcze z kilkoma Eskimosami wyruszyli na polowanie. Jechali morem. Po jakimś czasie Snouk zauważył białego niedźwiedzia. Kilka razy strzelił w niego, aż raniony zwierzę głośno zawył i zaczął tonać. Wtedy Snouk narzucił lasso, wciągnął zwierzę na lódz i ruszyli do domu. Bohaterem dnia był Snouk. Po jakimś czasie ruszyli na morsy (mors czyli koń morski). Mors dla Eskimosów ma wielkie znaczenie. Z morsów otrzymują tłuszcz, mięso, oliwę, skórę na szałas itd. Po jakimś czasie złowiono kilka morsów. Snouk też złapał kilka morsów. Wrócił do domu. I tak żył sobie Snouk.

**Bajeczki japońskie.****I.**

Powiadają ludzie że w życiu każdego człowieka jest jeden dzień, tylko jeden, w ciągu którego może on sobie przypomnieć o swym poprzednim istnieniu i powiedzieć coś o nim.

W dniu, w którym dziecko kończy dwa lata, matka zabiera je do najcichszej części domu i sadza w „mi”, czyli koszyk, służący do przesiewania ryżu. Dziecko siedzi w „mi” a matka, zwracając się do niego po imieniu, mówi:

— *Omae no zensé wa, nande atakane? — iute gorám.* (Twe poprzednie istnienie? — Co to było? — laskawie popatrz i powiedz).

Wówczas dziecko odpowiada jednemu słowu. Z jakichś tajemniczych przyczyn odpowiedź nigdy nie bywa dłuższa, często zaś jest tak zagadkowa, że trzeba się zwracać do kapłana, wróżbity przyszłości, z prośbą o wyjaśnienie. Wczoraj, naprzykład, mały synek kotlarza mieszkającego nieopodal nas, odpowiedział na to magiczne pytanie jednym słowem: — „*ume*”. Otóż „*ume*” może oznaczać kwiat śliwkowy, śliwkę lub imię żeńskie. Czy miało to oznaczać, że chłopiec przypominał sobie, że w poprzednim życiu był dziewczyną? czy może drzewem śliwkowym? — „Dusze ludzi nie wchodzi w drzewo śliwkowe” — powiedział sąsiad. — Człowiek zaś, przepowiadający przyszłość, którego spytano dziś rano, co ma znaczyć ta zagadka, oznajmił, że chłopiec był zapewne uczniem, poetą lub mężem stanu, ponieważ drzewo śliwkowe jest symbolem *Tendzin*, patronem uczonych, mężów stanu lub ludzi pióra.

II.

Czasami w domach zamożnych Japończyków pokazują gościowi zbiory rodzinne. Między nimi będą pewne te wyszukane przedmioty, które stanowią część japońskiego serwisu do herbaty. Być może, że postawią przed wami ładne, małe pudełko. Gdy je otworzycie, zobaczycie tylko śliczny jedwabny woreczek, związany jedwabnym, pokrytym malutkimi frendzelkami, sznurkiem. Jedwab jest niesłychanie miękki, w najlepszym gatunku, z wyszukaniem deseniem. Jaki cud kryje się pod tym futerałem?

Otwieracie woreczek i wewnątrz widzicie drugi woreczek z innego jedwabiu, lecz również bardzo piękny. Otwieracie następny woreczek i widzicie trzeci w którym jest czwarty, a w czwartym — piąty, w piątym — szósty, a w szóstym — siódmy, a siódmy zawiera w sobie najdziwniejsze, najprostsze, najtwardsze, jakie

kiedykolwiek widzieliście, naczynie z gliny chińskiej. Jest ono może prostacze, ale też bardzo drogocenne: może być, że ma przeszło tysiąc lat.

W podobny sposób stulecia najwyższej kultury społecznej owinęły charakter japoński w wielce drogocennych, miękkich jedwabiu grzeczności, delikatności, cierpliwości, słodyczy i poczucia moralnego. Lecz pod osłoną tych różnorodnych pokryć leży glina pierwotna, twarda, jak żelazo, zaprawiona ogniem krwi mongolskiej i niebezpieczną przebiegłością malajską.

III.

Włosy najmłodszej córki w rodzinie są bardzo długie, a upinanie ich przedstawia wcale ciekawy widok. Uczesanie robi się raz na trzy dni, i powiadają, że operacja ta trwa całą godzinę: kosztuje trzy seny. Ścisłej jednak rzeczy biorąc, trwa ona prawie dwie godziny. Fryzjerka (kamijui) posyła najpierw swą uczennicę, która czyści włosy, myje, perfumuje i czesze conajmniej pięciorakim rodzajem grzebieni. Włosy więc są tak doskonale wyczesane że przez trzy lub nawet cztery dni pozostają nieskazitelnie czyste. Rano w czasie wycierania kurzu i trzepania, wyciera się je starannie chusteczka lub małym błękitnym ręcznikiem; oryginalna zaś drewniana poduszka japońska, na której się opiera nie głowę, lecz tylko szyję, pozwala spać wygodnie i nie psuje tej nadzwyczajnej budowy.

Gdy pomocnica skończy swój dział pracy, występuje fryzjerka właściwa i zaczyna budowanie fryzury.

Do pracy tej używa — oprócz rozmaitych nadzwyczajnych grzebieni — cienkich pędlic z połączonych nici albo sznurczków z kolorowego papieru, małych kawałków ślicznie farbowanej jedwabnej krepki, delikatnych stałowych sprężynek i dziwnych małych przedmiotów, które mają kształt koszyczków. Włosy, zanim zostaną umieszczone na właściwym miejscu na głowie są najpierw naciągane na te kosmyczki, które nadają im w ten sposób pożądaną formę.

Kamijui przynosi ze sobą również i brzytwy, bo dziewczyna japońska musi być ogolona. — gola jej policzki, uszy, brwi, podbródek i nawet nos. Co może być do golenia na tym ostatnim? Tylko puszek, jak na brzoskwini — delikatny aksamit na skórze ludzkiej — który jednak zgodnie z gustem japońskim musi być usunięty.

Głowa dziewczynki niemowlęcia jest zupełnie ogolona. Gdy małe stworzenie ma już kilka lat, włosom pozwalają rosnać.

Jack Shannon.**Autoryzowany przekład Jerzego Bilisa.**

19)

(Wszelkie prawa zastrzeżone)

(Dalszy ciąg).

Profesor zrobił niewyraźny ruch ręką, jakby chciał zaprzeczyć. Uśmiechnął się do chłopców, a w uśmiechu tym tyle było bólu i zakłopotania że najzaciętsi wrogowie Littona spuścili głowy. Nie mogli spojrzeć mu w oczy.

— Pan Litton płakał. Gdybyście widzieli te łzy, przysięglibyście sobie inaczej postępować, zupełnie inaczej.

Józio przechylił się przez ławkę i nadržabiając miną, szeptał coś Harremu do ucha. Wnet jednak rozdzielili ich chłopcy.

— Cicho! Skończ wreszcie te gadania.

Dick triumfował. Osiągnął swój cel.

— Koledzy! Pozwólcie, że w imieniu całej klasy przeproszę pana Littona. I przyrzeknę mu, że nigdy już, nigdy — pamiętajcie! — nigdy nie sprawimy mu przykrości.

Chłopcy powstali z miejsc.

Pan Litton, odwrócony od uczniów, by nie zauważył jego łez rzekł zduszonym głosem:

— Poczekajcie... Zaraz... zaraz tu wrócę...

I wybiegł z klasy.

Nikt nie przerwał ciszy.

Dzwonek, oznajmiający koniec lekcji, wdarł się w tę ciszę, jak intruz, niepotrzebny nikomu i obcy.

Dziwna to była pauza. Dziwniejsza, niż sam Dick przypuszczał, dziwniejsza, niżby to sobie mógł pan Litton wyobrazić. Od początku istnienia szkoły nie było takiej pauzy.

Dick został w klasie. Bo wołał zostać sam. Nie chciał z nikim rozmawiać, nie chciał nawet na nikogo patrzeć. Dolatywały go tylko pojedyncze słowa:

— Dobrze zrobił —

— Tak najsluszniej —

— Miał rację —

Nie był nawet ciekawy, jak się czuje w tej chwili Harry, co robi Józio, czy również stronią od kole-

gów, czy też naradzają się nad nowym planem postępowania.

Inni natomiast głowę by dali, by wnikać w myśli Józia.

Powaga zaciążyła nad głowami chłopców, jak wielka czarna chmura nad szumiącym borem. Przyciszyła rozkrzyczane głosy, stłumiła dwuznaczne uśmiechy i zmuszała do rozsądniejszego wnikięcia w wytworzoną sytuację.

Nikt nie prawie nie mówił nikt jeszcze z nikim nie dzielił się uwagami, a wieść o dziwnym wypadku lotem błyskawicy rozniosła się po korytarzach, wdarła się do wszystkich klas, zapukała w drzwi gabinetu dyrektora i — niewpuszczona tam przez surowego woźnego — przez dziurkę od klucza chyba przedostała się do kancelarii.

Profesor Litton był bardzo wyczerpany tą lekcją. Ucieszył się, gdy — uchyliwszy drzwi od pokoju nauczycielskiego — skonstatował, że koledzy jego jeszcze są na lekcjach.

— Muszę chwilę sam zostać! — pomyślał. — Ktoby się tego spodziewał? Ktoby się tego spodziewał? Tyle lat, tyle lat uczę historii Stanów Zjednoczonych, a nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się przeżyć samemu tak pięknej chwili. To powinno przejść do historii. Zdaje mi się, że otrzymałem dziś najwyższe odznaczenie z rąk prezydenta!

Spuścił głowę i twarz, zoraną zmarszczkami, ukrył w dłoniach. Pod zamkniętymi powiekami przesuwaly się obrazy z dawnych, minionych lat kiedy to sam jeszcze był uczniem.

Był małym, nieśmiałym uczniem. Pośmiewiskiem klasy. Dokuczano mu: rudy! rzwy! czerwony! pomidor! Zagryzał wtedy wargi i cierpiał, ale nie śmiał nigdy zareagować. Był słaby, mały, niezdarny. Każdy jednym pchnięciem mógłby go powalić na ziemię.

I był synem kowala ze wsi.

Uciekł z domu. Silna dłoń ojcowska nieraz rzeźbiła wielkie guzy na jego głowie. Rodzeństwo miał liczne. Był najmłodszy i jak ojciec wciąż powtarzał: niepotrzebny.

Niepotrzebny!

O! dobrze zapamiętał sobie to słowo.

Niepotrzebny innym, ale potrzebny sobie. Nie rezygnował, nie zalał się, nie cofał się.

Prosto któreś ciemnej nocy wykradł się z domu i uciekł. Nikt go nie szukał, nikt nie odczuł jego nieobecności, ani jego straty.

Może nawet i lepiej tak było.

Uciekł — to uciekł. Wielkie rzeczy!

Mniej osób do wykarmienia.

Uciekł mały jedenastoletni chłopczyk. A wyglądał na osiem lat najwyżej. Nie miał świątecznego ubrania. Tak więc, jak stał, zamknął drzwi za sobą, cichutko, cichutko i — wyszedł.

No tak! Tylko wyszedł. Nie uciekł. Bo nikt go nie gonił, ani nikt go zatrzymywać nie chciał.

Bał się jednak obudzić ojca. Dziś jeszcze pamięta, że drzwi izby okrutnie skrzypiały. Widocznie zardzewiały były zawiasy.

W podartej kieszeni marynarki miał tylko fotografię matki. Znał ją, tylko z fotografii, bo umarła natychmiast po jego urodzinach. Na całe życie zachował obraz uśmiechniętej twarzy młodej wieśniaczki.

Nie znał jej, a kochał ją, jak kocha się matkę, która ma dla syna serdeczne słowo i ciche przytulenie.

Nie żałował jej też, choć wiedział że umarła bardzo młodo i w ostatniej jeszcze chwili wszystkimi siłami rwała się do życia.

Nie żałował jej. Przeciwnie! Był jej bardzo wdzięczny, że umarła. Bo śmiercią swoją okupiła jego życie.

Gdyby żyła, byłby pozostał w domu. Łagodziłaby z pewnością targi między nim, a ojcem, ułatwiałaby mu ciężkie dni i mocą swego serca trzymałaby go w domu, przy sobie. Możeby go nawet najgorzej kochała, bo taki był mizerny, taki słaby, taki opuszczony i wzgardzony.

Taki niepotrzebny!

A jej byłby naprawdę potrzebny.

Nie mógłby wtedy uciec.

Zostałby, cierpiałby. —

Może byłby dziś też kowalem, jak jego ojciec, albo woziwoda...

— Dobra matko! — myślał często. — Odeszłaś by ułatwić mi ucieczkę od tego życia. Dziękuję Ci za to. I kocham cię stokroć więcej za to, że pozwoliłaś mi z tego piekła się wydostać.

(Dalszy ciąg-nastąpi).

Gdzie osiołek?



Pan Ciapka miał osiołka. Małego, ładnego osiołka. Pewnego dnia chciał się wybrać do teatru.

A znał stare powiedzenie: „na osiołku do teatru” i myślał, że konieczne trzeba się udać na biedne stworzonko i tak przez miasto paradować na przedstawienie.

Jak myślał, — tak zrobił.

Przed teatrem uwiązał swego ulubienca czworonożnego i oddalił się.

Śmieszna miała minę pan Ciapka gdy po skończonym widowisku nie ujrzał już osiołka...

Gdzie osiołek?



„Dlaczego”?

Nieustający konkurs „Rep. Dzieci” (Warunki patrz w Nr. 53 „R. Dz.” z r. 1931).



Pytania:

19. Kto wymyślił tabliczkę mnożenia?

Romek Ordynans.

#

20. Jaka jest teoria Mendelejewa?

Cesia Gecel.

#

21. Jak i przez kogo została wydrukowana pierwsza gazeta?

Cesia Gecel.

#

22. Kto był twórcą skautingu?

Cesia Gecel.

#

23. Kto pierwszy zaczął oswajać zwierzęta?

W. Wolhendler.

Klasyfikacja rysunkowa i robótek ręcznych.

Pajac wielkanocny.

(Nad. N. Grynbaumówna).



Z powodu zbliżających się świąt przesyłam pajaca wielkanocnego.

Bierze się dwa jajka znaczy się środek z jednego i drugiego końca, przekłuwa się i wydmuchuje, by zostały tylko skorupki. Jedną skorupkę na głowę, drugą na tułów. Przez głowę i przez tułów przeciąga się dwie nitki, a końce ich przykleja papierkami do skorupki.

Trzeba teraz pajaca ubrać. Stożkową czapkę z kolorowego papieru przylepia się do głowy. Oczy, nos, usta i włosy maluje się na skorupce.

Ubranie zrobione jest z kolorowego papieru, pociętego w paski. Nalepiamy paski w ten sposób, żeby końce były zakrecone i wywiniete białą stroną nazewnątrz. Jest to kołnier. Główkę należy przylepić do kołnierza, smarując klejem miejsca, w których głowa styka się z paskami (żeby się nie kręciła).

Zresztą — rysunek najlepiej wszystko wyjaśni.

Konkurs dla najmłodszych.

Do konkursu na dokończenie bajeczki o kózce i o wilku — nadesłano 12 prac, z których najlepszą — M. Gerstenteld — drukujemy poniżej.

DOKOŃCZENIE BAJECZKI O KÓZCE I O WILKU.

Wtem błysnęło zdaleka słabe światełko które zwiększało się z każdą chwilą. Wkrótce zarysowały się kontury jakiejś postaci, niosącej zapaloną głównię. A wicie dzieci, kto to był? Otóż była to poczciwa babunia, która, zaniepokojona długą nieobecnością kózki, przyszła do lasu, by jej poszukać. I dobrze się stało, że przezorna babunia przyniosła ze sobą światło, gdyż wilk, widząc ogień, zawył głucho i, podkulwszy ogon, uciekł czempredziej. Ocalała kózka padła w objęcia swej wybawicielki.

#

Radość babuni i kózki była niezmierna, gdy znalazły się razem w chatce. Nawet ogień weselej trzaskał na kominku: i on widocznie stęsknił się za kózką.

#

Już księżyc zbladł i ze wschodniej strony wyloniła się czerwona tarcza wchodzącego słońca. Jasny promyczek spojrzal figlarnie przez szparę w okiennicy do chatki babuni i padł na główkę śpiącej kózki.

I powiem wam, dzieci, w sekrecie, co kózka szepnęła wczoraj babci przed pójściem na spoczynek: przyrzekła jej solennie (po koziemu), że już nigdy jej nie opuści. Widocznie odechciało się jej samotnie spacerować po lesie.



Jenny Domejko.

Filareci i Filomaci.



Tomasz Zan.



Jan Czeczot.



Ignacy Domejko.

(Dokończenie).

Figura najniepoczytniejszą ze wszystkich był bez wątpienia Łoziński. Szerokiej twarzy, barczysty, niewysoki, nieco twardego rysu, przekładał nad zbyteczne uniesienia życie praktyczne, dobry byt, niezależność: nie oddawał się żadnej wyłącznie gałęzi nauk, ale był dobrze obeznany z literaturą, jako też z naukami przyrodzonymi i z matematyką. Był on z Wołynia, z Krzemieńskiej szkoły wielbiciel Czackiego i ks. Osieńskiego. Zawsze w dobrym humorze, rubaszny, umiał skarbić przyjaciół i miał przewagę między młodzieżą; zajmował się daniem lekcji na pensjach panien i w prywatnych zakładach.

Nikt jednak nie dorównał w popularności, w sposobach i darze podobania się i pociągnięcia ku sobie młodzieży, panu Tomaszowi Zanowi, od którego powinienem być zacząć.

Zan był z powiatu Nowogródzkiego, gdzie miał bardzo szanownego stryja, który się nim opiekował, księdza kanonika Zana, proboszcza w Poloneczce (o dwie mile od domu rodziców moich). Był jak to mówią człowiekiem powszechnym: posiadał gruntowną znajomość nauk przyrodzonych i doświadczałnych, był dobrym matematykiem i poetą, znał literaturę i historję naszą i języki starożytne: był wielkim miłośnikiem sztuk pięknych, mianowicie muzyki, którą znał dobrze, i śpiewał wybornie. Średniego wzrostu i nieco śniadej twarzy, miał małe ogniste oczy, włos ciemny kędzierzawy, czoło wyniosłe, nieco zwięzając się u góry. Kiedy śpiewał, improwizował i wpadał w uniesienie, mówiono że z jego czoła i oczu strzelały jakoby promienie, któremi zdobywał i pokonywał serca tych, co go słuchali. Umiał z równą łatwością zniżać się do pojęcia niewinnych dzieci, bawić je i nauczać jak wchodzić w rozprawy z najzimniejszymi uczonemi i z ludźmi podeszłego wieku. Zawsze wesoły, wypogodzonej twarzy, żartobliwy, lubił pleć piękną, niewinną, a był bardzo przykładowy w obejściu się z nią;

estetyczny, miłośny, nie mógł znieść najmniejszego słowa w młodych ludziach, któreby zakrawało na nieobyczajność, zepsucie i zmysłowość, a nie cierpiał rozpustnych. Utrzymywał, że pierwszym krokiem do nieuczciwości, upodlenia i zdrady jest niepowściągnięcie grubych skłonności obżarstwa i rozpusta, które zarażają otaczającą atmosferę swędem i zgnilizną: to też dowodził, że muzyką i poezją, czystością obyczajów i miłością można uratować z upadku najbardziej zepsutych ludzi. Znany był też i lubiony pan Tomasz ze swoich ballad i trioletów, które śpiewano, a do których sam dorabiał muzykę; czytano z przyjemnością jego poemat *Pan Twardowski*, i on urządził muzykę do śpiewów, które przy syłał nam z Kowna Miokiewicz. Utrzymywał się z dawania prywatnych lekcji.

Najrubaszniejszy z całego grona najruchliwszy, istny zapaleniec, był Onufry Pietraszkiewicz: na niego

spadała mianowicie materialna praca w urzędzeniu towarzystw, on był mistrzem ceremonji, archiwistą, skarbnikiem; przyrządzał małe uczty kiedy chodziło o obchód przyjazdu Adama z Kowna lub jakich imienia. Jedynym jego żywiołem i warunkiem bytu była narodowość, dobro kraju, przeszłość i przyszłość Polski. On tylko jeden nosił wąż zarwiesisty na pamiątkę Sobieskich, Pułaskich, i lubił śpiewać: „ozdobo twarzy pokretné wasy“. Znałem go od lat szkolnych: bo był moim guvernerem w Szczuczynie, a potem ze mną na oddziale nauk fizycznych w uniwersytecie.

Różniący się od wszystkich z powierchowności, choć tychże samych uczuć i zasad, był syn ówczesnego rektora, Franciszek Małewski. Był to prawnik, większy od wszystkich nas polityk światowy, znający wyższe towarzystwo, mówił czysto, jasno, ze zdrowym rozsądkiem; władał z łatwością nowożytnemi językami i dobrą łaciną, bronił swojej rozprawy na magistra prawa; przytym dobrego humoru, przyjemnej twarzy, znawca i miłośnik sztuk pięknych, towarzyski i praktyczny.

Owóz siedmiu młodych uczniów uniwersyteckich, którzy od zbliżenia się ku sobie uczuli pierwszy popęd do wywarcia wpływu na młodzież wileńską. Nie mam potrzeby powtarzać, że siłą tego popędu i bodźcem do czynności, a głównym celem było dobro kraju stara Polska, przechowanie narodowości i charakteru polskiego.

NASZE LISTY.

„*Djabetek*“. Ku-ku-ry-ku! Wca-
le się Ciebie nie boję! A ciuś-ciuś!
Zyg-zyg! Zrób mi coś!

Nadto listy nadesłali: „Stefcio Rogulski“, S. Goldberżanka, Estusia Bergerówna, Bokserówna Bela Gutka Kurchart, Cława Warmówna, Bronka Kaufmanówna, Regina Ternerówna, Edzia Lublińska, Renia Cytrynowska, Helcia Kowalska K. Gliklichówna, S. Lewkowiczówna, Lucynka Korotszajówna, Cesia i H. Zyskindówna, H. Działowska, Wandzia G., Oleńka Szmuszkowicz, Marianek Fajwłowicz, M. Mandelbaum, „R. L.“, Cesia Gecelówna, Z. Zonen-szajn i M. Aronowicz, M. Gerstenfeld, Manusia —, Lola Jamnikówna, Anka Rokmanówna, Bronia Mortenfeldówna, Reginka Wajsbłumówna, Estusia Jamnikówna, Karolek Minowicz, Lewek G. i inni.

#

Obok takich i siakich — są także i „owacy“.

Ci owacy nie rozumieją, dziwią się, wreszcie żalą.

Żalą się na tę najmniejszą rubrykę w „*Naszyc Listach*“: „*Nadto listy nadesłali*...“

„Czy naprawdę Pan Redaktor nie ma czasu, by mi odpowiedzieć?... Dlaczego w „*Rep. Dz*“ istnieje dział: „*Listy nadesłali*“? To wzbudza niechęć do dalszego pisania... Nadesłałem tyle logogryfów i przesuwaneł, a nie mam odpowiedzi...“ — pisze Helenka Cwaighaftówna.

Tak samo pisze N. Zandlerówna — i dodaje: „Przesyłam tylko ćwierć calusa, ponieważ jestem obrażona.“

A w przypisku: „Czy nie mogłabym dostać odpowiedzi po tygodniu, gdyż mam dużo lekcji?“

M. R. i A. K. Dlaczego nie pełne nazwiska? „Opowieści“ nie otrzymałem.

Arusz Kinrus. Temat sprzeczki dość wesoły. Była to chyba tylko zażarta dyskusja. I ja mam ją zakończyć. Wolę nie odpowiedzieć.

Będziecie mieli nadal ciekawy temat do dyskusji. Nr. 7 (93) dawno już wyczerpany. Może któryś z kolegów pozwoli Ci ją przejrzeć.

Renata Rokmanówna. Przesłałaś pocztówkę do młodzieży czechosłowackiej, ale przedtem nie przeczytałaś dokładnie drukowanych uwag, jak taką pocztówkę należy napisać. Adres gdzieś się zapodział. Komu więc mają odpisać?

„Wieczna Niezapominajka” zechce zdradzić swe nazwisko, jeśli ma zamiar korespondować z Redakcją.

Reniusia Cytrynowska. Wiesz pewno o tem, że nie drukujemy nazwisk tych, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązanie rozrywek. Zajęłoby to za dużo miejsca (przynajmniej jedną stronę gazetki). Nie możemy tembardziejziej każdej czytelniczce odpowiadać, czy rozwiązała zagadki prawidłowo. Zgadzasz się z tem?

Mala Rozensztajnowna. Jest to najmniejsza fotografia jaką do albumu „Przyjaciół Republiki Dzieci” otrzymałam. Kilka milimetrów szerokości!

Helcia Kowalska. Zamian takich o jakich piszesz, nie możemy ogłaszać w gazecie. Otrzymywalibyśmy wciąż podobne „zamówienia” na

wzmianki. A jednemu zrobić to, drugiemu — nie? Byłoby niesprawiedliwe. Przy odrobince energii możesz przeprowadzić podobną zaniamię w kółku swych koleżanek.

Lalusia Juszkiewiczówna. — Ile wątpliwości w jednym małym (ale bardzo starannie napisanym) liście! Odpowiadam naprawdę tylko znajomym czytelnikom i czytelniczkom. Znajomość jest zawarta już po pierwszym liście. My więc już się znamy. — Ale piszę dla wszystkich — i dla nieznanomych.

„Kwitnaca Różyczka”. Miałaś dużo cierpliwości przy pisaniu listu: jedno słowo czarnym atramentem, jedno — czerwonym — i tak naprzemian. Jeszcze wirują mi przed oczyma czarne i czerwone kręgi.

➡
Nadto listy nadesłali: „Ulubienice Republiki Dzieci”, Fela Rozmarynówna i Mania Włkińska, „Leniuszek”, H. Goldmanówna, Dora Lubinińska, R. Gokberżanka, Franusia Wienerówna, Edzunia Kinówna, „Djabełek z piekła” (Brrr!...), Bronia Brandtówna, Helenka Jerolimowska, Julek Szattan, Romek i Reżanka Ordynansowie, „Stefcio Rogulski” i inni.

Wasz Przyjaciół.

Kłątwa śpiewaka.

„Czytelnik 112” nadesłał tłumaczenie pięknego wiersza poety niemieckiego, Uhlanda, p. t. „Des Saengers Fluch”.

Dawnemi czasy w rozległej krainie panował monarcha potężny, bogaty. Zamki królewskie otaczał sad piękny strojny w śliczne drzewa, worne kwiaty. Mimo pozory — kraj nie był szczęśliwy: cień tronu padał na wsze jego strony, nosąc ze sobą, jęki ucieszonych, skargi niewinnych i kłatwy dreczonych.

Pewnego ranka para śpiewaków przybyła do zamku. Starzec na ramię jechał wyniosłe, za nim podążał młodzieniec na osle. Gdy zszedli obaj, tak doń starzec rzecze: „Dziś syn mój pokaże, co umie! Twe piękne serce tyranu zrozumie! Może na strasznym okrucieństwie, bucie, zakwitnie wreszcie i ludzkie uczucie! Może gra swą serce jego wzrusze — pełną okowy, wiążące tę duszę!”

Już są na sali, przed króla obliczem — złem i ponurem niewzruszonym niczem, obok wesolej znalazli królowej. Wnet pieśń zabrzmiała — dźwięk w tym zamku nowy. Ale dumnego królewskiego lica nie nie rozjaśni — chyba gniewu błyskawica. Piękna króla żona, czarem muzyki, śpiewu umiesiona, mimo sza-

lejając w twarzy męża burzę, rzuciła swym śpiewakom herbacianą różę...

Zerwał się król z gniewem na twarzy ponsowej: „Wara wam od pani, wara od królowej!” I stałowym gótem w młodzieńca cisnął... Grot błyszczący w locie złowrogo zabłysnął i trafił swoim ostrzem w czyste chłopca serce. Padł, krwią zbracząc kosztowne kobierce. Z jękiem staruszek rzucił się na syna. A król zawołał: „Dość głupstw! Dajcie win!” Więc ołciec strapiony trupa już unosi a nieba łaskawe o pomście tak prosi: „Prochem niech się staną zamku tego ściany, krwawy tyran niechaj będzie zapomniany! Przekleństwem niech wszystkim imię jego będzie, z podłymi niech w jednym postawia go rzędzie! Niech ogrodów barwne i pachnące kwiecie straszna nawalnica po ziemi rozmiecie!”

Próśb starca łaskawe wysłuchaly nieba: w miach się zamieniła żywna sadu gleba.

Dzisiaj niema zamku, niema także sadów. Po dawnej potędze nie zostało śladu. Zniknęły wielkie baszty, wyniosłe wierzyce, grobowa ci-sza drży nad okolicą... Przypomina tylko czasy tyranstwa minione rozlegające się czasem zle krakanie wrony.

Nasz kalendarzyk naukowy

Czy wiecie, że...

26 marca 1827 r. zmarł Ludwik van Beethoven, genialny kompozytor niemiecki, urodzony dnia 17-go grudnia 1770 r.

28 marca 1483 r. urodził się w Urbino Rafael Sanzio (Raffaello Santi), znakomity malarz włoski.

#

ANEGDOTA.

Ludwik Beethoven, największy z tytanów muzycznych, jaki kiedykolwiek istniał, był z krwi i kości republikaninem. Szczytem jego pragnień, było ujrzeć ludzkość, wyzwoloną z pęt despotycznych władców i ucisku. To też ze szczerym entuzjazmem witał Napoleona, owego „zwiastuna jutra”. Kierowany najwyższym uwielbieniem dla „Małego kaprala”, pisze Beethoven symfonię, której daje tytuł: Bonaparte. Nagle dowiaduje się o korcacji Napoleona. Wpada w wściekłość i drac dykację, woła w obarzeniu: „Więc to zwykły, tylko zwykły człowiek!” — Na miejscu zaś zniszczonego tytułu, daje napis właściwy, a zarazem wzruszający: „Symfonia bohater-ska... ku uczczeniu wspomnienia o człowieku wielkim”.

Humor.

OSZCZEDNY.

Kapuściński i Kołasiński rozmawiają o konieczności oszczędzania.

— Zgadzasz się ze mną, że należy oszczędzać, — mówi Kołasiński, — więc jestem ciekaw, czy robisz jakies oszczędności.

— Ależ naturalnie, — odpowiada Kapuściński, — niema miesiąca, że-bym nie odłożył w PKO kilkudziesięciu złotych...

— A ile odłożyłeś już dotychczas?

— Nawet nie wiem dokładnie.

— Jakto nie wiesz? Powróć się przecież mieć książeczkę Pocztowej Kasz Oszczędności...

— Widzisz, — odpowiada Kapuściński, — ja składam pieniądze w Pocztowej Kasie Oszczędności w ten sposób że... wrzucam pieniądze wprost do skrzynki pocztowej.

BARDZO MOŻLIWE.

Mały Stasio pragnął otrzymać na gwiazdkę narty. Gdy obejrzał znajdujące się pod choinką, a przeznaczone dla niego prezenty, znalazł zamiast nart — łyżwy.

Stasio stał przez kilka chwil w zamysleniu wreszcie pokiwał głową i odezwał się:

— O sporcie jednakże nie ma św. Mikołaj najmniejszego pojęcia...



LOGOGRYF.

Z następujących sylab ułożyć 14 wyrazów o podanym znaczeniu, których początkowe litery, czytane z góry na dół dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów:

- 1) Owoce. 2) Okres czasu. 3) Miasto w Ameryce. 4) Twórca legjonów we Włoszech. 5) Wychodźca z kraju. 6) Imię męskie. 7) Samogłoska. 8) Nauka starannego pisania. 9) Stosunek pokrewieństwa. 10) Napój. 11) Roślina. 12) Mąż wielkiej sławy. 13) Czajnik. 14) Zwierzę.

Sylaby:

- york — rok — ro
- fi — dąb — e
- wski — gont — ry
- mi — gi — y
- szard — ka — gra
- li — fja — cia
- clo — her — ta
- ba — o — an
- le — pił — ski
- bryk — der — sud — im
- dźwiedz — nie

PRZESUWANKA.

Przestawcie litery tak, by środkowe litery wyrazów, czytane pionowo z góry na dół dały rozwiązanie.

- T Y F A K
- T Y P Ł O
- J A R A C
- B A C H S
- M A B R A
- K E J L E
- Ł A W I S
- W A R T O
- L E R Ó K
- K A J F A
- T Y P A K
- T A R K A
- W A R T A
- K A B A J

KRYPTOGRAM.

(Ul. W. Wolhendler).

Z każdego wyrazu wziąć po dwie, obok siebie stojące, litery, by otrzymać rozwiązanie:

Powieki, zawałony, trotuar, Repnin, kluby, zawałił, pokaże, dzida, wieczny, cios.

LOGOGRYF.

Z następujących sylab ułożyć 9 wyrazów o podobnym znaczeniu, których początkowe litery, czytane z góry na dół dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów:

- 1) Męczennik podczas walk powstańczych. 2) Inaczej śledzenie. 3) Inaczej nieprzyjaciel. 4) Stowarzyszenia rzemieślników. 5) Inaczej hasło. 6) Liczebnik porządkowy. 7) Stolica Austrii. 8) Możliwość. 9) Szuba.

Sylaby:

- ski — o — ce — wa — oś
- łu — wróg — siła — znak — wie
- cja — ka — bser — my — wca
- chy — deń — e — tu — ność
- al — żuch — ko.

PRZESUWANKA.

Przestawie litery tak, by środkowe litery wyrazów czytane pionowo z góry na dół dały rozwiązanie:

- W I E C K R A
- T E T K O M I
- H Y C E R Z O
- R Z A L S T O
- R Z K A D R U
- K A R A M A L
- C A N I K O N
- K A O N R O K
- C Z E K S T O

#

Rozwiązania nadsyłać można do czwartku, dnia 31 marca r. b.

Za prawidłowe rozwiązanie powyższych rozrywek Redakcja przewiduje trzy nagrody.



KUPON Nr. 3
„REPUBLIKI DZIECI“

Seria II. Rok 1932.

Wyciąć i schować.

NAGRODY

za prawidłowe rozwiązanie „Rozrywek Umysłowych” „Republiki Dzieci” drogą losowania otrzymały:

1. *Minia Abramsonówna*, Kamienna 3 — książkę.
2. *Lalusia Juszkiewiczówna* — Nowo - Taigowa 10 — grę towarzyską.
3. *Helcia Kowalska*, Zawadzka Nr. 27 — ćwierć kg. czekolady.

#

Nagrody odebrać można w Redakcji „Republiki Dzieci” — ul. Piotrkowska 49 — w czwartek, dn. 24-go marca b. r. między godziną 5—6 po południu.

ROZWIĄZANIE

ROZRYWEK UMYSŁOWYCH.
z Nr. 10 (98) „Republiki Dzieci”.
ŁAMIGŁÓWKA ROZSYPANKA.



Co to za książka? Adam Mickiewicz — „Dziady“.

Zawila odpowiedź. Chory jest synem odwiedzającego go.

Przesuwanka. Prosta droga najlepiej prowadzi do celu.

Wrony, czy bociany? (ze str. 5). Wrony, ponieważ widoczne jest stado. Bociany ciągną długim kluczem, jeden za drugim.

#

Do rozwiązujących: Rozwiązanie „Rozrywek Umysłowych” należy pisać na osobnej kartce. Każda kartka musi mieć u góry imię, nazwisko i adres rozwiązującego.

Do amatorów Rozrywek: Nadsyłane prace należy pisać po jednej stronie kartki, u dołu podawać rozwiązanie, nadto na każdej kartce umieszczać imię, nazwisko i adres.

Redakcja nie udziela odpowiedzi na pytania dotyczące się oceny rozrywek, lub terminu ich umieszczania.



Ufaj swym siłom!

*Ufaj swym siłom.
Wiara młodzieńcza
Zapału niechaj nie studzi, —
Niech uszlachetnia,
Wzmacnia hart ducha
Do pięknych czynów
Niech budzi!*

PIK.